



JULIA BRYLEWSKA

SINNER

INFERNO TOM 3



Copyright © 2021
Julia Brylewska
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Anna Strączyńska
Korekta:
Agnieszka Sajdyk
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-717-8

JULIA BRYLEWSKA

SINNER

INFERNO #3

OŚWIĘCIM 2021

„Najgorsze, co może spotkać człowieka, to żyć i umrzeć w samotności,
nie kochając i nie będąc kochanym”.

Paulo Coelho, *Największy dar*

Prolog

Alfie Meyer często pakował się w kłopoty. Miał to we krwi, zupełnie jakby przy narodzinach sam diabeł nadał mu to piętno. Może właśnie takie było jego przeznaczenie – aby niszczyć i ostatecznie samemu zostać zniszczonym?

Myślał o tym, gdy przeskoczył przez płot oddzielający dom dziecka od ogromnej posiadłości Sharmanów. Kiedyś byli dla niego niczym rodzina, której nigdy nie posiadał. Teraz tamte czasy wydawały się już jednak zbyt odległe, by chłopak mógł je pamiętać. Nic, co było piękne, nie mogło zbyt długo się przy nim uchować.

Znał ten ogród tak dobrze, że nawet w gęstej ciemności nocy potrafił bez trudu się w nim poruszać. Dotarł do jednego z trzech wysokich drzew, po czym wspiął się na nie i ukrył burzę białych włosów pomiędzy liśćmi. Rozsiadł się wygodnie na gałęzi, a następnie wyjął z kieszeni kurtki paczkę papierosów.

W całym swoim siedemnastoletnim życiu zrobił wiele paskudnych rzeczy, ale nigdy wcześniej nie palił. Cóż, przynajmniej do momentu, w którym Mikael Sharman nie stanął na jego drodze i nie skradł jego zepsutego, pustego serca do tego stopnia, że Alfie był gotów popaść w kolejne uzależnienie, byle tylko znaleźć choć jedną łączącą ich rzecz. Nie zakochał się w nim od razu albo może właściwie nie wiedział, że to, co poczuł, kiedy po raz pierwszy go spotkał, było miłością.

Alfie nigdy nie kochał i nie był kochany. Rodzice porzucili go jak bezpańskiego psa, który okazał się nie dość ładny, aby posłużyć za domowe zwierzątko, a dzieciaki z sierocińca nie pałały do niego sympatią, podobnie jak opiekunki, które zazwyczaj zach-

wywały się tak, jakby chłopak w ogóle nie istniał. Przynajmniej do momentu, w którym znowu nie wpakował się w jakieś kłopoty.

Wszyscy spisali go na straty, jakby nie był wart choć odrobiny wiary. Może w gruncie rzeczy wcale się w tej kwestii nie pomylili?

Odpalił papierosa, zaciągnął się dymem, a potem odwrócił głowę i spojrzął na jezioro. W czarnej tafli odbijał się biały księżyc. Jego blask oświetlał dwie twarze, które dla innych mogły wydawać się takie same, ale dla niego zawsze były zupełnie inne.

Bracia Sharman wbrew pozorom bardzo się od siebie różnili, choć ich wygląd czasami sprawiał, że ludzie nie umieli ich rozróżnić. Alfie nawet w tej ciemności był w stanie tego dokonać.

Nie chodziło tylko o fakt, że Victor szczerze go nienawdził, a Mikael był jedyną stąpającą po tym świecie osobą, która pokładała w nim marną cząstkę wiary, na jaką z całą pewnością nie zasłużył.

Przez jego spięte mięśnie przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Istniało wiele rzeczy, których się obawiał, ale widok czarnej wody wyglądającej tak, jakby kryła pod sobą całe zło tego świata, przez co wzbudzał w nim niewytłumaczalny strach. Dlatego nie mógł podejść bliżej, nawet gdyby tego pragnął.

Obserwował ich uważnie, gdy dopłynęli łódką na sam środek zarośniętego jeziora. Nie był podglądaczem, ale rodzina Sharmanów znieawdziła go do tego stopnia, że jego spotkania z Mikaelem stały się bardzo utrudnione. Nie był już mile widziany w ich domu. Niekiedy zakradał się więc do ogrodu i obserwował go z ukrycia, aby choć przez moment nie czuć się na tym świecie zupełnie samotnym.

Alfie lubił te chwile, mimo że nigdy nie trwały zbyt długo i nie mogły zaspokoić jego serca na dłużej niż kilka godzin. Nie chciał zakochać się w jednym z braci i gdyby mógł cofnąć czas, zrobiłby wszystko, by sobie na to nie pozwolić.

Miłość była kosztownością, na którą nie było stać ludzi takich jak on, a Mikael Sharman był kimś poza jego zasięgiem. Alfie

był przecież tylko smutnym, zagubionym dzieciakiem. Bez rodziny i z raczej marną przyszłością, a ktoś, kto nosił nazwisko Sharman, od urodzenia miał zapewnione życie złotego dziecka. Człowieka, za którym sukces kroczył każdego dnia. Czerpał więc z tych chwil tyle, ile tylko mógł. Nawet jeżeli były ulotne i wyjątkowo marne.

Jego relacja z rodziną Sharmanów nie zawsze wyglądała w taki sposób. Gdy jako kilkuletni chłopiec uciekł z sierocińca, a potem schował się w pokoju jednego z braci, Victor krył go przez kilka dni, przynosił mu jedzenie i dał swoje ubrania. W domu dziecka nie mógł liczyć na nic więcej, niż za duży T-shirt i krótkie spodenki. Był jego pierwszym, prawdziwym przyjacielem, a także tym, którego najwcześniej stracił. Flora i Arthur Sharmanowie obdarzyli go miłością, na którą nie zasłużył i której nie potrafił odwzajemnić, ponieważ nikt nie nauczył go, jak powinno się kochać. A przynajmniej nie we właściwy sposób.

Później ich zdradził. Najpierw sprowadził ich ukochanego syna na złą drogę, a potem ich okradł, by zdobyć choć trochę pieniędzy, które wydał głównie na alkohol i używki. Alfie Meyer urodził się po to, by niszczyć. Miał to w naturze i nawet gdyby próbował, nie potrafiłby się tego pozbyć. Ostatecznie postanowił więc pogodzić się z tym, że w historii rodziny Sharmanów to właśnie on był czarnym charakterem.

Dopalił papierosa, zgasił go w wilgotnym konarze drzewa i jeszcze raz spojrzął w kierunku jeziora. Przełknął z trudem, dostrzegając na twarzy Mikaela szeroki, pełen radości uśmiech. Jego śmiech rozniósł się echem po ogrodzie i wprawił serce chłopaka w nieco szybszy, pełen tęsknoty i bólu rytm.

Pierwsze krople deszczu spadły na policzki Alfiego, wyrzuwając go z chwilowego zamyślenia. Uniósł głowę i dostrzegł na niebie ciemne burzowe chmury zwiastujące nadciągającą ulewę.

Była to jedna z tych chwil, która właśnie bezpowrotnie minęła, pozostawiając po sobie pustkę i dziwne przecucie, że coś podobnego nigdy więcej się nie wydarzy.

Już miał zeskoczyć z drzewa na miękką trawę, lecz usłyszał chlupot wody. Zamarł z jedną dłonią wspartą na konarze, a drugą na własnym kolanie. Odwrócił się na moment przed tym, jak z nieba spadł gromki deszcz, a nad jego głową rozbrzmiał pierwszy grzmot rozpoczynającej się burzy.

Na łódce pozostał już tylko jeden z braci.

Rozdział 1

Smętna melodia *Bohemian Rhapsody* docierała do niej jak przez mgłę. Słowa były jednak na tyle wyraźne, by zdołała rozpoznać głos Freddiego Mercury'ego, który przy akompaniamencie pianina śpiewał o szansie na szczęśliwe życie, jaką zaprzepaścił, gdy zabił człowieka.

Powoli rozchyliła spierzchnięte wargi. Ból zaatakował jej skronie i promieniował przez całą długość kręgosłupa, sięgając nawet palców u stóp. Jęknęła, nie mając odwagi, by unieść powieki. Kiedy przełknęła ślinę, metaliczny posmak krwi wypełnił jej usta.

– Victorze. – Z jej gardła uciekł słaby, zachrypnięty szept. Otepiały umysł nie był w stanie zatrzymać słów.

Odpowiedział jej jedynie Freddie Mercury, który zakończył kultową piosenkę słynnym: *Nothing really matters*. Kilka sekund później ciszę na nowo wypełniły pierwsze nuty utworu.

Hailey miała nadzieję, że to wszystko było jedynie koszmarem, z którego niebawem się zbudzi. Z jej piersi wyrwał się szloch. Gorące łzy spływały jej po policzkach, a ciało co chwilę przesywał tak ostry ból, że z trudem mogła wziąć kolejny oddech.

Dopiero po dłuższym czasie uniosła powieki, lecz szybko ponownie je zacisnęła. Ostry blask reflektorów uderzył w nią z siłą, która sprawiła, że jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Gwałtownie odchyliła głowę, przez co uderzyła potylicą o zagłówek fotela. Przygryzła mocno dolną wargę, przygotowując się na ból, który przeszył jej kark, a potem powędrował przez spięte mięśnie brzucha, barków i ramion.

Powoli poruszyła palcami u rąk. Poczwała pod nimi miękkie materiały poduszki powietrznej oraz kawałki szkła, które rozciąły jej skórę. Starła się policzyć w myślach do trzech i zebrać resztki siły, ale wydawało się, że za każdym razem, gdy próbowała się skupić, przeklęty Freddie Mercury podnosił ton głosu.

– Zamknij się – syknęła. Była zbyt otępiała, by pojąć, że kierowała słowa do głosu z radia, który nie był w stanie udzielić jej odpowiedzi ani nawet jej usłyszeć. Ból w skroniach był nie do zniesienia. Natrętne myśli nie dawały jej spokoju i nie pozwalały się skupić.

Otworzyła powieki na dłużej dopiero przy refrenie. Pierwszym, co ujrzała, były jej stopy zasypane szkłem pochodzącym z przedniej szyby czarnego mercedesa.

– Vi... – Urwała, gdy po odwróceniu głowy dostrzegła puste miejsce. Jej ramiona się zatrzęsły, a gardło opuścił przeciągły jęk.

Zamknęła oczy. *To tylko koszmar. Wkrótce się z niego obudzisz i wszystko będzie w porządku.* Tylko to rozbrzmiewało jej teraz w myślach.

Drżącą dłonią rozpięła pas bezpieczeństwa, po czym uniosła powieki i się rozejrzała. *Bohemian Rhapsody* nie rozbrzmiewało z samochodu, w którym się znajdowała, a z wnętrza białej furgonetki. To jej reflektory zaatakowały ją zaraz po tym, jak odżyła przytomność. Piosenka dobiegła końca, a potem na nowo zakłóciła ciszę panującą na martwej drodze.

Hailey przełknęła ślinę, a następnie skrzywiła się, kiedy krew ponownie wypełniła jej usta. Zamrugwała, starając się przyzwyczaić wzrok do blasku świateł samochodowych. Każdy bodziec odczuwała ze zdwojoną siłą.

Właśnie wtedy go dostrzegła. Victor leżał na mokrym, błyszczącym od kawałków szkła, asfalcie. Jego twarz była zwrócona w kierunku czarnego nieba, a jego klatka piersiowa się nie unosiła.

– Nie! – wyrwało się z jej gardła, ale głos miała wciąż tak słaby, że ledwie mogła usłyszeć własne słowa.

Kiedy dziewczyna wstała, przytrzymując się otwartych drzwi auta, odłamki szyby posypały się na ziemię. Pozbyła się szpilek i postawiła krok, ignorując leżące na drodze szkło. Nogi odmówiły jej jednak posłuszeństwa, a ciało ponownie przeszył ostry ból.

Upadła na mokrą od śniegu drogę. Fragmenty szkła wbiły się w skórę jej dłoni. Wypluła krew, która ponownie wypełniła jej usta. Miała tak ciemny kolor, że wydawała się niemal czarna.

– Nie – szepnęła, czując, że ponownie zaczynała tracić przytomność. Mocniej przycisnęła ręce do chropowatego asfaltu. Gdy szkło wbiło się w jej dłoń, ból na moment otrzeźwił myśli.

Zdołała wstać, przytrzymując się karoserii. Uniósła głowę, mrużąc oczy. Od Victora dzieliło ją pięć lub sześć metrów. Teraz ta odległość zdawała się niemożliwie duża. Jakimś cudem zdołała zebrać w sobie resztki sił, zignorować ból i powoli ruszyć przed siebie. Każdy krok kosztował ją tak wiele wysiłku, że co chwilę odnosiła wrażenie, jakby znów miała utracić świadomość.

Upadła zaledwie metr przed mężczyzną. Resztę drogi pokonała na kolanach, nie zważając na szklane odłamki, które przy każdym ruchu boleśnie raniły skórę.

Zespół Queen ponownie zaczął grać tę samą piosenkę. Hailey nie była pewna, który to już raz – czwarty czy szósty. Zrozumiała, że wydostanie się z mercedesa i dotarcie do Sharmana zajęło jej ponad dwadzieścia minut. Wydawało się, że czas płynął własnym torem w jakiś pokręcony sposób.

– Proszę – szepnęła, gdy w końcu do niego dotarła. Chwyliła jego twarz drżącymi, brudnymi od krwi dłońmi.

Oddychał. Bardzo wolno i słabo, ale oddychał.

– Jestem tutaj – zapewniła, choć nie sądziła, by słyszał jej głos.

– Wszystko będzie dobrze. Obiecuję, tylko proszę, zostań ze mną... – załkała, odsuwając ręce. Na jego bladej skórze pozostały ślady jej krwi. – Muszę tylko... – Rozejrzała się, a jej wzrok spoczął na białej furgonetce. – Zaraz wrócę – rzuciła przez ramię.

Z trudem wstała. Starła się pokonać drogę do samochodu Victora szybciej niż za pierwszym razem. Pod jednym z siedzeń odnalazła swój telefon. Ekran na moment rozbliśnieł, po czym zgąśł. Przednia szybka była doszczętnie zbita.

Jęknęła, odrzucając urządzenie na bok. Nie udało jej się znaleźć telefonu, który należał do Sharmana. Okrążyła mercedesa i zajrzała do wnętrza furgonetki, która nie była tak bardzo zniszczona jak auto, którym jechali. Nie dopatrzyła się większych szkód prócz wgniecenia.

Wnętrze samochodu było puste. Z radia wciąż płynęły dźwięki tej samej melodii. Hailey nie odnalazła niczego, dzięki czemu mogłaby sprowadzić pomoc, wróciła więc do Victora.

– Przepraszam – szepnęła płaczkliwie. – Tak bardzo cię przepraszam... – Jej wargi zadrżały, kiedy pochyliła się i przycisnęła je do zakrwawionego czoła mężczyzny.

Odsunęła się, a wtedy dostrzegła na jego skórze kilka własnych łez, które niepostrzeżenie spłynęły po policzkach.

Nie mogła sprowadzić pomocy. Znajdowali się na jednej z dróg za miastem. Z obu stron otaczał ich gęsty las. Nawet gdyby spróbowała udać się do najbliższej stacji benzynowej, straciłaby przytomność po zaledwie kilku metrach. Mogła jedynie przy nim zostać.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła, kładąc głowę na jego słabo unoszącej się i opadającej piersi. Czuła bicie serca Victora. Było wolne. Coraz wolniejsze. – To tylko sen. – Pozwoliła, żeby jej powieki opadły. Była zbyt słaba, aby temu zapobiec, choć wiedziała, że powinna zachować przytomność tak długo, jak było to możliwe. – Zaraz się z niego obudzimy i wszystko będzie jak dawniej... – Jej głos stracił na sile i przerodził się w bełkotliwy szept.

Dłoń dziewczyny zsunęła się bezwładnie, po czym uderzyła o twardą powierzchnię drogi. Krew ponownie wypełniła jej usta, a metaliczny smak sprawił, że jęknęła.

Ogarnęło ją tak wielkie zmęczenie, że ból zszedł na drugi plan. Wsłuchiwała się w bicie serca Victora, w jego wolny oddech, czując, że staje się coraz słabsza. Nawet jeżeli wiedziała, że nie powinna się poddawać, nie była w stanie unieść powiek.

– To tylko sen – szepnęła. Nie zdobyła się na nic więcej. Nawet wypowiedzenie krótkiego słowa kosztowało ją wiele sił. Poczowała ogarniający ją spokój, zupełnie jakby sen wyłonił się zza rogu i w końcu ją odnalazł. – Zaraz się obudzimy...

Rozdział 2

Odzyskała przytomność kilka minut temu, lecz nie potrafiła odnaleźć w sobie dość odwagi ani siły, aby unieść powieki. Pod palcami czuła szorstkie prześcieradło. Gdzieś z boku dobiegały do niej stłumione kobiece głosy, charakterystyczny dźwięk wydawany przez elektryczne drzwi oraz równomierne pikanie.

– Doktorze. – Słowa rozbrzmiały znacznie bliżej niż dotychczas.

Hailey w końcu zdecydowała się otworzyć oczy. Biel zaatakowała ją tak nagle, że jęk samoistnie wyrwał się z jej gardła. Zauważyła nad sobą kobiecą twarz, która szybko zniknęła. Na jej miejscu pojawił się siwiejący mężczyzna. Jego głos był tak stłumiony, jakby od brunetki oddzielała go gruba warstwa szkła:

– Panno Warren, słyszy mnie pani?

Dziewczyna zacisnęła powieki. Nagle uderzyły w nią przebłyski wspomnień: ślub Meggie i Thomasa, biała furgonetka, *Bohemian Rhapsody*, ona na pustej drodze i...

– Victor – szepnęła, ponownie otwierając oczy. Napotkała spojrzenie doktora. – Gdzie jest Victor? – Jej głos zadrżał, a gardło przeszył ostry ból.

– Panno Warren, proszę się uspokoić – polecił łagodnie. – W wyniku wypadku doznała pani lekkiego wstrząsu mózgu. Odczuwany przez panią ból jest spowodowany uszkodzeniem żeber, więc proszę nie wykonywać żadnych gwałtowniejszych ruchów. Pielęgniarka przed chwilą podłączyła kroplówkę. Leki przeciwbólowe powinny zacząć działać w ciągu trzech minut. Wtedy poczuje się pani lepiej...

– Gdzie on jest? – wtrąciła. Gorące łzy spływały jej po policzkach. Nie starała się nad nimi zapanować. Nie miała w sobie

dość sił. – Muszę wiedzieć, gdzie on... – Urwała, nagle dusząc się własnym oddechem.

– Caroline. – Lekarz zniknął z pola jej widzenia. Pojawiła się nad nią młoda pielęgniarka, która zasłoniła jej usta maską z tlenem.

– Proszę spokojnie oddychać – poleciła.

Hailey drżącą dłonią zsunęła z twarzy to przekłete urządzenie, które miało ułatwić jej normalne oddychanie.

– Muszę wiedzieć, co z Victorem. Proszę...

– Mówi pani o mężczyźnie, który razem z panią brał udział w wypadku? – zapytała.

Dziewczyna w odpowiedzi jedynie niepewnie skinęła głową.

– Z tego, co mi wiadomo, zaraz po przywiezieniu do szpitala został zabrany na salę operacyjną.

Panna Warren zacisnęła dłoń na nadgarstku pielęgniarki. Wbiła paznokcie w skórę kobiety, nie pozwalając jej odejść, potem wydusiła z siebie słabe:

– Proszę...

– Naprawdę mi przykro, ale nie wiem nic więcej. – Wyswobodziła rękę z uścisku, a później ponownie przyłożyła maskę tlenową do jej ust. – Proszę spróbować się nie denerwować. To może pogorszyć pani stan zdrowia, co na pewno w niczym teraz nie pomoże.

Hailey odprowadziła pielęgniarkę wzrokiem. Gdy kobieta zniknęła za rozsuwanymi drzwiami, powoli się rozejrzała. Szpitalna sala była niemal całkowicie opustoszała – nie licząc stojącego nieopodal łóżka, na którym spał starszy mężczyzna.

Ostrożnie podniosła się do pozycji siedzącej. Odniosła wrażenie, że ból promieniował od środka jej ciała, stopniowo pochłaniając każdy jego skrawek. Pozbyła się maski, a następnie wyrwała z ręki kroplówkę, nie zważając na to, że tym gwałtownym i mocnym ruchem rozerwała skórę. Z rany wypłynęła krew, którą nieporadnie wytarła w materiał okrywający jej ciało.

Wciąż miała na sobie złotą, brudną od krwi sukienkę oraz bose stopy. Gdy wstała, obraz przed jej oczami stał się na moment jedynie rozmazaną plamą. Minęła chwila, nim była w stanie opuścić pomieszczenie.

Na korytarzu natknęła się na ratownika medycznego, który najpierw obdarzył ją pytającym spojrzeniem, a potem wskazał drogę do sali operacyjnej. Przeszła przez główny hol, ignorując spojrzenia mijanych ludzi. Gdy w końcu dotarła do dwuskrzydłowych białych drzwi, rozbrzmiał za nią głos doktora:

– Panno Warren! Prosiłem, żeby nie opuszczała pani sali...

Dopadła do drzwi. Przez okienko dostrzegła jedynie kolejny długi korytarz. Na jego końcu znajdowało się wejście, które zapewne prowadziło na salę operacyjną.

– Muszę go zobaczyć – szepnęła. Gardło piekło ją nieznośnie przy każdym wypowiedzianym słowie. – Muszę...

– Hailey!

Odwróciła głowę i przez łyzy dostrzegła ubraną w białą sukienkę Meggie. Przyjaciółka ruszyła w jej kierunku, podtrzymując materiał w dłoniach.

– Meg... – Osunęła się na podłogę, bowiem jej nogi kompletnie odmówiły posłuszeństwa. Były zbyt słabe, by utrzymać w pionie ciało dziewczyny.

Meggie wyminęła lekarza, który przystanął w połowie drogi, i również upadła na podłogę, nie zważając na to, że miała na sobie suknię ślubną.

– Już, jestem tutaj – zapewniła cicho, kiedy brunetka znalazła się w jej objęciach.

– Muszę... muszę go zobaczyć. – Ząkała. – Muszę wiedzieć...

– Wiem, kochanie – szepnęła, również walcząc ze łzami. Powolnymi ruchami gładziła ciemne włosy Hailey. – Wiem. – Uniosła głowę w chwili, gdy na końcu korytarza pojawił się Thomas wraz z rodzicami.

– Chyba nie muszę mówić, jak nieodpowiedzialnie się pani zachowała, panno Warren, prawda? – Doktor obdarzył ją ciężkim westchnieniem. Zamknął teczkę, po czym pokręcił głową. – Proszę więcej nie opuszczać sali bez mojej zgody.

Siedziała na szpitalnym łóżku i pustym wzrokiem wpatrywała się w wewnętrzne strony dłoni. Jej skórę poraniło szkło z szyby samochodowej. Leki, które zostały jej podane, były jednak na tyle silne, że nie odczuwała bólu. Teraz chyba jej zranione serce sprawiało najwięcej kłopotów. Nie mogła się skupić na niczym innym.

– Hailey od teraz będzie przestrzegała pańskich zaleceń – obiecała Meggie. Przez cały ten czas siedziała przy łóżku przyjaciółki na plastikowym stołku.

Lekarz ostatni raz spojrzął na pacjentkę, a następnie opuścił salę. Dopiero wówczas dziewczyna wydobyła z siebie głos:

– Co ze ślubem?

– Naprawdę się tym teraz martwisz? – Meg poprawiła materiał sukienki, nie potrafiąc ukryć drżenia rąk.

– Nie, ale to pomaga mi nie myśleć – szepnęła słabo.

Blondynka odetchnęła głęboko.

– Dostałam telefon ze szpitala, zanim ceremonia się zaczęła. Ślub został odwołany. Wszyscy przyjechaliśmy tutaj...

– Przepraszam – wtrąciła, nie odrywając spojrzenia od własnych dłoni. Pamiętała, jak wbiła w nie szkło, by nie stracić przytomności. Miała wrażenie, że wciąż czuła je głęboko pod skórą.

– Hailey... – Poruszyła się nerwowo. – Próbowalam dowiedzieć się, co z Victorem, ale lekarz nie miał do powiedzenia nic prócz tego, że operacja wciąż trwa. Podobno jego stan nie jest...

– zamilkła, uświadamiając sobie, że może lepiej nie przekazywać przyjaciółce pełnej informacji. Nie teraz, gdy panna Warren zdawała się tak bardzo nieobecna.

– Rozumiem. – Jej głos był pusty i wyprany z emocji. – Tam, na drodze, nie mogłam znaleźć telefonu i zadzwonić po pomoc.

– Ktoś akurat tamtędy przejeżdżał. Mieliście sporo szczęścia, bo to naprawdę mało uczęszczana droga.

– Sporo szczęścia? – powtórzyła. W końcu przeniosła spojrzenie na przyjaciółkę i zapragnęła prychnąć. Złość, jaką czuła, nie była jednak skierowana do Meg, a do niej samej.

Blondynka nagle pojęła, że nieco niefortunnie dobrała słowa.

– Policjanci, którzy zjawili się na miejscu, powiedzieli, że furgonetka uderzyła w stronę, po której siedział Victor. Nazwali to cudem, bo tobie praktycznie nic się nie stało. Zupełnie jakby czuł nad tobą anioł...

– Nie anioł – zaprzeczyła. – Diabeł – dodała szeptem, spuszczać wzrok. Zaciśnęła poranione dłonie w pięści, a potem przyłożyła policzek do poduszki tak, aby Meggie nie mogła dostrzec jej twarzy.

Nie miała już na sobie zakrwawionej sukienki, a szary dres przywieziony do szpitala przez rodziców. Poprosiła, żeby poczekali z Thomasem na zewnątrz, ponieważ nie miała siły patrzeć, jak bardzo byli zmartwieni. Meg o wiele lepiej ukrywała emocje.

– Powinnaś odpocząć. – Blondynka chwyciła materiał sukienki i powoli wstała. – Wszystko będzie dobrze – szepnęła, choć w jej głosie próżno byłoby szukać pewności i zdecydowania. Zupełnie jakby sama nie wierzyła we własne słowa.

Hailey zaciśnęła powieki. Pozwoliła sobie na płacz, dopiero gdy upewniła się, że została w sali sama. Płakała, dopóki nie zjawiła się pielęgniarka, aby zmienić jej kroplówkę. Zapytała o Victora, jednak nie otrzymała odpowiedzi. Pytała cztery lub pięć razy. Bezskutecznie.

Po kilku godzinach płaczu rozboleła ją głowa. Zdołała zasnąć na zaledwie piętnaście minut. Obudziło ją pojawienie się w sali rodziców.

– Lekarz powiedział, że musisz zostać kilka dni na obserwacji. – Kris Warren usiadła na miejscu, które wcześniej zajmowała Meggie. – Jutro przyjedziemy z tatą i przywieziemy ci wszystkie potrzebne rzeczy. Jeżeli będziesz głodna lub coś będzie ci potrzebne, to dzwoń w każdej chwili.

– Kochanie. – Edward Warren położył dłoń na ramieniu żony, zupełnie jakby starał się dotykiem ukoić jej nerwy. Oboje byli ubrani w eleganckie stroje.

– Powinnicie wrócić do domu – szepnęła Hailey. – Jestem zmęczona. Położę się i spróbuję zasnąć...

– Oczywiście. – Tata obdarzył dziewczynę pełnym zrozumienia uśmiechem. – Thomas i Meggie pojechali do gości. Chyba powinniśmy do nich dołączyć.

– Tak. – Pani Warren pośpiesznie wstała. – Odpocznij. Przyjedziemy do szpitala za kilka godzin.

– Dobrze. – Starła się odwzajemnić uśmiech, który posłał jej tata.

Odprowadziła ich wzrokiem, aż do momentu, w którym zniknęły za rozsuwanymi drzwiami. Później położyła się na twardym materacu szpitalnego łóżka, lecz nie próbowała zasnąć. Wiedziała, że nawet jeżeli jakimś cudem by jej się to udało, to sen trwałby za krótko, by mogła wypocząć. Z pewnością zbudziłaby się bardziej zmęczona, niż przed zaśnięciem.

Nie miała już siły na płacz. Przez ostatnie godziny wyplakała tak wiele łez, że ani jedna nie uchwyciła się w jej sercu. Leżała więc bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w suficie i starała się nie myśleć, choć było to wyjątkowo trudne. Miała cały czas świadomość, że lekarze być może walczą teraz o życie Victora, a ona nie może mu w żaden sposób pomóc.

Dopiero przybycie pielęgniarki przywołało ją do rzeczywistości.

– Operacja dobiegła końca – poinformowała, sprawiając, że Hailey gwałtownie się podniosła, a ból na nowo przeszył jej skronie i klatkę piersiową. – Pacjent został wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej. Jego stan nadal jest ciężki...

– Mogę go zobaczyć? – wtrąciła.

– Pan Sharman przebywa na oddziale intensywnej terapii i...

– Westchnęła ciężko. Przez ostatnie godziny dziewczyna nieustannie pytała o Victora. Być może smutek malujący się na jej twarzy zdołał wzbudzić w kobiecie litość, bo w końcu dodała:
– W porządku.

Pielęgniarka odłączyła ją od kroplówki, a potem przeprowadziła przez dwa szpitalne piętra. Noc zmieniła się we wczesny poranek, więc szpital i pacjenci zaczęli dopiero budzić się do życia.

– Proszę nie stać tutaj długo i wrócić do sali. Powinna pani zatroszczyć się również o własne zdrowie.

– Oczywiście. To nie potrwa długo – obiecała.

Gdy pielęgniarka odeszła, zostawiając ją samą na opustoszałym korytarzu, Hailey przez kilka minut stała bez ruchu, bo nie potrafiła postawić choćby kroku. Obawiała się, że widok Victora roztrzaska jej serce.

W końcu zebrała w sobie resztki siły i stanęła przed szybą. Przyłożyła do jej gładkiej powierzchni drżące dłonie, po czym zajrzała do szpitalnej sali. Dopiero po chwili odnalazła łóżko.

Wszystkie wcześniejsze obawy okazały się słuszne – widok Victora otoczonego medycznym sprzętem i jego bladej twarzy sprawił, że na nowo ogarnął ją niewyobrażalny smutek. Rozpłakała się, choć chwilę wcześniej była pewna, że nie uroni już nawet łzy.

– Przepraszam – szepnęła, przyciskając czoło do szkła. – Tak bardzo cię przepraszam...

Czuła się w jakimś stopniu winna. Może gdyby na drodze nie straciła przytomności i spróbowała sprowadzić pomoc, która dotarłaby do Victora nieco szybciej... Może wówczas wszystko potoczyłoby się inaczej? Załkała żałośnie. Jeszcze kilka godzin wcześniej była tak szczęśliwa. Planowała przyszłość, która runęła niczym domek z kart zbudowany na wyjątkowo kruchej pod-

stawie. Po tamtym szczęściu nie pozostało nic prócz bólu, który nawet na moment nie dawał jej wytchnienia.

Poderwała głowę, gdy dostrzegła jakiś ruch wewnątrz sali. Ubrana w biały fartuch pielęgniarka zatrzymała się przy łóżku, a następnie się pochyliła i zaczęła zmieniać kroplówkę, muskając przy tym skórę dłoni Victora.

– Przestań – jęknęła, uderzając ręką w szybę, która była jednak na tyle gruba, że żaden dźwięk nie mógł przedostać się do środka. – Nie dotykaj go! Nikt... nikt nie może go dotykać. – Łzy ciekły po jej policzkach. Czuła ich słony smak na drżących wargach. – Nie dotykaj go – szepnęła słabo. Palce przesunęły się po szkle, a jej dłoń swobodnie opadła. – Nie... – Zaczęła dusić się własnym oddechem.

Objęła ręką gardło, jakby to miało w jakiś sposób przynieść ulgę. Czuła mocne uderzenia swojego serca. Gwałtowne nabranie powietrza wywołało jedynie ból uszkodzonych żeber, który poczuła aż w kręgosłupie. Łzy zasłoniły jej widok na szpitalną salę.

– Hailey?

Zdołała nabrać w płuca duży haust powietrza. Gdy odwróciła głowę, jej policzki błyszczały od płaczu.

Na końcu korytarza ujrzała mężczyznę o włosach białych niczym śnieg. Od góry do dołu spowitego w czerni: czarne buty, płaszcz i kapelusz tego samego koloru.

– Alfie? – szepnęła, a gardło nieznośnie ją zapiekło.

Ramiona mężczyzny opadły, a jego wiecznie rozbawiona twarz schowała się za lekkim grymasem, który przez moment zdawał się przepelniony bólem.

– Dowiedziałem się o wypadku dopiero przed godziną – odparł, stawiając krok w przód. – Cieszę się, że nic ci się nie stało... – dodał, jakby naprawdę poczuł ulgę, widząc ją całą i zdrową. Cóż, względnie zdrową.

– Victor... – Urwała, bo nie była w stanie dokończyć zdania.

– Wiem – wtrącił, zaciskając dłonie w pięści. – Wiem – powtórzył.

Przez jego słowa i łagodność rozbrzmiewającą w jego głosie dziewczyna ponownie się rozplakała. Łzy znów rozmazały obraz, jaki rozciągał się przed jej oczami. Zorientowała się, że trafiła w objęcia Alfiego Meyera, dopiero kiedy pokonał dzielący ich dystans i zamknął ją w żelaznym uścisku. Pachniał whisky i dymem papierosowym. Wtuliła się w niego, zaciskając drżące dłonie na materiale czarnego płaszcza.

Mężczyzna odwrócił głowę i zajął do wnętrza sali. Spojrzał na Victora, który teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej przypominał mu Mikaela. Ból, jaki zatlił się na dnie jego martwego serca, był niemal nie do zniesienia. Mocniej objął drobne ciało Hailey, przyciągnął ją ku sobie i oparł podbródek na czubku jej głowy. Nie zamierzał zapewniać, że niebawem wszystko będzie dobrze. Te słowa były tylko obietnicami bez pokrycia. Nie miały żadnej wartości. Nie był jednak zaskoczony. Czyż nie tak kończyły się wszystkie piękne historie, w których księżniczka odważyła się pokochać potwora?